

ARI.

Na mchem porośłym kamieniu, u przeczystej sadzawki siedziała Ari, nimfa, z precikiem w ręku i pasła swą różnobarwną trzodę. Owieczkami jej były zwiędłe liście, żółte, brązowe i czerwone, które pobliski strumyk do ukrytej w zaroślach sadzawki przynosił.

Ari pieściwie je rutką swoją gromadziła razem, bacząc pilnie, aby swawolny strumyk żadnego nie porwał i nie unióś z sobą tam, dokąd sam wartko się toczył.

Rosła tedy szybko jej pstra gromadka i Ari z uśmiechem zadowolenia witką swoją wodziła wokoło.

— Ale co to? Żadna owieczka już nie przychodzi? Znowu nie? I znowu nie? — Ari przestała się uśmiechać i rozmyśla.

— Czy aby nie gałąź wpadła do strumyka i listkom drogę zagraża? Trzeba zobaczyć, kto jej zepsuł rozkoszną zabawę?

Położyła rutkę przed szyjką sadzawki, aby żadna owieczka wymknąć się nie mogła, zgrnęła czerwono - złociste włosy z twarzy i wstała. Stanąwszy na jednym z wyżej położonych kamieni mogła kawał strumienia ogarnąć wzrokiem. Odwróciła się.

— Ha!

Jej lazurowe oczy błyskawica gniewu przeszyła.

O niecałe dwadzieścia kroków od niej, młoda jodła tylko źle osłonięty, czaił się Cukiel, nieletnia latorośl złośliwego fauna Grizo. Przykucnąwszy, wyciągniętą nad strumykiem dłonią wyławiał nadpływające liście. Na bezczelnej twarzy o tępym nosie widniał wisusowski uśmiech.

Cukiel dobrze wiedział, co robi! Nie pierwszy to raz psuł Ari zabawę. Kiedy na skrzydełkach siedzącego motylka liczyła pstre centki! Już, już dobiegała końca, przychodził Cukiel i płoszył motylka. Gdy trzy dni na rozkwitnienie fioletka czekała i właśnie miał się otworzyć, aby słodkiej swej woni jej udzielić, Cukiel znowu się zjawiał niespodziewanie i przygniatał go swoim, małym, twardym kopytem.

Ach, on był jej zmorą i utrapieniem, od kąd mógł skakać!

Drżąc z gniewu, przebiegła po kamieniach do jodły, za którą się Cukiel ukrywał i chwyciwszy go z tyłu za małe różki nad czołem, przechyliła go w dół, zanurzając jego głowę w strumieniu.

Chciał krzyczeć, ale woda zalała mu wnet usta. Kiedy go Ari puściła, pozostał na ziemi z twarzą w strumieniu i nie ruszał się wcale. Ari stała obok niego bezradna i strwożona.

Wtem zaszumiła między liśćmi. Ari spojrzała i uciekała. Poznała bowiem starego fauna Grizo. Wśląd zatem rozległ się wściekły ryk. Ari, drżąc całym ciałem, przykucnęła w gestych zaroślach.

Wieczorne słońce swe ostatnie blaski rzucało w las. Purpurowymi pniami wyrastały jodły ze złocisto - różowej murawy. Ciemne plamy rumowisk skalnych znaczyły się szaro - brunatnie wokoło.

Na największym głazie siedział pan srebrnowłosy, z głową w bluszcz zdobną. Obok niego ze wszystkich stron na niskich kamykach przykucnęły najstarsze fauny: szare, kosmate i pomarszczone.

Na uboczku nieco, na ciemnym mchem porośłym pagórku siedziała Ari, biała i błyszcząca, z rękami związanymi z tyłu trzcina. Przez pochylone czoło włosy jej spadały na łagodnie zaokrąglone kolana, lśniąć ognicie, tam gdzie ukośny promień słońca je muskał.

Tuż obok pana skalistego tronu, stał wysmukły o jodłę oparty Ger, faworyt pana, najbrunatniejszy i najbardziej kędzierzawy ze wszystkich młodych faunów. Czarne jego płomienne oczy patrzyły bezustannie na wiotką postać skrepowanej Ari.

Tylko co Grizo, stojący w gromie starych faunów, zakończył swą jękliwą skargę. Wyjąc, wznosił w górę niezwygłego Cukiela i żądał sprawiedliwości. Był strasznie brzydki z krzywymi rogami i nogami oraz szaro - zieloną twarzą. Oblicze pana wyrażało wstręt. Nakazał Grizowi milczenie. Spojrzał na przycupniętą na wzgórzu nimfę i litością wezbrało mu serce. Ale sprawiedliwość pana była większa, aniżeli miłosierdzie jego. Przez chwilę skupił się w sobie, poczem ogłosił wyrok:

— Weź sobie Ari — rzekł do Grizo — twoja jest, póki ci Cukiela nie zwróci.

Chrząkamie i pomruk rozległy się wśród zebranych, ale nikt wyroku nie zakwestjonował.

Grizo jeden zaśmiał się dzikim śmiechem:

— Jesteś mądry i sprawiedliwy, wielki panie! — zawołał i wzięwszy Cukiela pod lewe ramię, prawą ręką chwycił trzcinę, którą ręce nimfy były związane i pociągnął ją za sobą w ciemniejący las, ku swej grocie.

Starzy faunowie rozchodząc się, omawiali wyrok i zazdrościli Grizowi.

Pan, wstawszy ze swego skalistego tronu, zawołał Gera.

Ale Gero znikł.

* * *

Błada tarcza księżycowa, królując na nieboskłonie, słała swe blaski na stromą ścianę skalną, wystającą srebrną bielą z pomiędzy czerni jodłowej. W jednym tylko miejscu las jakgdyby się cofnął. Wielką ciemną paszczą ziała tam szczelina. Była to grota Griza.

Coś się przed nią w lesie ruszało. Sokół wleciał, trzepocąc skrzydłami o konary i jak strzała śmignął precz wysoko ku ciemnym szczytom drzewnym. Suche gałęzie zatrzeszczały w dole. Tupot nóg się zbliżał. Jakiś jęk przeplatał odgłos kroków. I

oto ukazał się na wyrębkisku: Grizo z Cukielą pod pachą i Ari, włokąca się za nim. Grizo stękał ze zmęczenia, ale usta jego szczyrzyły się w złośliwym uśmiechu. Malpion wystające zębów błyszcząły z za wysokich, sinych warg. Ari, chwyciwszy się, szła za swym władcą z zwisającymi, w rosie skapanymi włosami. Trzcina wrzynała się jej w ręce. Musiała się za nim wlec.

Przez poiankę zbliżali się do groty. Jeszcze dziesięć kroków, a znikną w jej czełści.

Nagle cień mignął za głazem skalnym. Skok. Ger stał przed Grizo, trzymając kamień obu dłońmi. Grizo puścił Ari, która bez wydania głosu padła na ziemię i zasłonił się trupem małego Cukiela przed ciałem. Zwłoki Cukiela i kamień potoczyły się na ziemię. Ger skoczył i pochylił się. Grizo również. Zderzyli się mocno uzbrojonymi w rogi czaszkami. Grizo zachwiał się. Drugie gwałtowne uderzenie wnet dostał w kosmatą pierś, aż zwałił się na ziemię. Podniósł się w okamgnieniu, ale czarny strumień krwi, charkocząc, bluznął mu z ust. Zakreślił się w miejscu i padł znowu tuż obok Cukiela. Ostatnim wysiłkiem przyciągnął go do siebie i znieruchomiał.

Ger podbiegł do Ari, rozwiązał trzcinę i przywarł uchem do serca nimfy. Poczem podniósłszy ją, poszedł ku grocie. U wejścia do niej jeszcze raz się obejrzał w stronę Griza z płomieniem triumfu w oczach: znikł razem ze swą zdobyczą w jaskini.

Trzy razy puhać krzyknął w oddali. Poczem ziemia się uciszyła, jakgdyby z księżycem o zakład poszła, które z nich dwojga głębiej milczeć potrafi.

Tłum. Jotsaw.



Zula Pogorzelska, filar warszawskiego teatru „Wielkiej Rewii“.



Rok IV.

Łódź, dnia 20 listopada 1927 roku.

Nr. 47.

11-ty listopada w Łodzi.



Dziewiątą rocznicę restytucji Państwa Polskiego obchodziła Łódź uroczystie. Na zdjęciu przedstawiciele władz państwowych z dowódcą O. K. Nr. IV, generałem Stanisławem Małachowskim (XX) i wojewodą łódzkim p. Władysławem Jaszczoltem (X) na czele w czasie przyjmowania defilady przy ulicy Piotrkowskiej. Fot. Aleksander Meyer

TEATRALIA.

„Wojna wojnie”. — Nowa komedia K. Wroczyńskiego. — „Halka” w Bratisławie. — Różności zagraniczne.

Poprzedzona awanturami bojkotowami i prawdziwą „wojną” prasową, Arystofanesowska komedia pióra Adolfa Nowaczyńskiego p. t. „Wojna wojnie”, ujrawszy — mimo wszystko — światło kinkietów na scenie warszawskiego Teatru Polskiego, okazała się tęgą, słoną a wesołą satyrą na dzisiejsze, wczorajsze i jutrzejsze tematy społeczno - polityczne, satyrą o zabarwieniu par excellence, naturalnie, pamfleciarskiem, tak właściwym nastawieniom pisarskim autora. W sposób śmiały, może nawet zuchwały, ale dowcipny i zjadliwy smaga p. Nowaczyński, wzorem antycznych mistrzów komedjowych, odwieczny „kleonizm”, będący niczem innym, jak wynaturzeniem demokracji i przekarykaturowaniem jej w rozpaczną, bezczelną, wszechpożerającą — demagogię. Rzecz zrozumiała, autor „Wojny” w aktualnościach bieżących wypadków znalazł sobie żer obfity dla popisów i wyladowań satyrycznych, dla konstrukcji komedjowych aluzji, ukrywających pod greckimi szaty postać aż nazbyt wyraźną i do odgadnięcia łatwą. To też nożyce cenzury zmuszone były pchamować nieco wigor pióra i złośliwości autora, którego tupet szdrzałski i małkontentyzm ironiczny pozostają w wybitnej niezgodzie z układem współczesnych stosunków publicznych w Polsce.

Kreśląc swych Greków, p. Nowaczyński myślał o — Polakach, zaś o Atenach myślał — Warszawę miał przed oczyma. Nie szło mu o nic, jak o wydrwienie i wykpienie demagogicznego szaleństwa, w którego zabójczych opłotach dusi się i ginie zdrowy rdzeń idei demokratycznej. Zadanie to, spełnione zostało w sposób niezwykle oryginalny, gdyż temperament pisarski, nerw sceniczny i kalamburowo - makaroniczny styl autora „Wojny” pasują go na wyjątkowo uzdolnionego wodza podobnych publicystyczno - komedjowych kampanij.

Inscenizacja „Wojny”, będąca dziełem p. L. Schillera, zjednała temu znakomitemu realizatorowi sceny najgorętsze uznanie i najpochlebniejsze superlatywy nawet ze strony stałych a przysięgłych jego koncepcyj przeciwników. Inscenizacja ta poszła zupełnie zdecydowanie w kierunku widowiskowym, przetwarzając arcytrafnie i arcypomysłowo „Wojnę” w rodzaj świetnej rewii, pełnej światła, kolorów, śpiewu, tańca, muzyki — gdzie w powodzi optycznych i akustycznych efektów stają się możliwe do przesłonięcia nawet najbardziej słone i gorzkie specyfiki satyry i gdzie najjadowniejsze nawet jej żądła i żadelka wywołują zaledwie lekkie a dość zresztą przyjemne — swędzenie. Do tego kabaretowego — w dobrym sensie słowa — stylu inscenizatora, stylu, określanego krótko przez publiczność warszawską mianem: „Folies Bergères”, zastosowali się również wykonawcy „Wojny”, tworząc zespół wyjątkowo składny, we soły i znakomity. Na czele tej gwardji Teatru Polskiego wymienić należy: pp. Krze-

wińskiego (Demos), Samborskiego (Kleon), Czapliska (Aspazja), Kunina (Ksantypa), Pancewiczową (Mioluba) — nie mówiąc już o całym zastępie innych niemniej dzielnie spełniających swój trud aktorski. Bardzo pomysłowe dekoracje i kostjomy skomponował Wł. Daszewski (Pik), jeden z filarów karykatury „Cyrulika Warszawskiego”.

Nie bacząc na ogromny sukces „Wojny” zapewniającej jej długi żywot sceniczny — dyrekcja Teatru Polskiego sięga dalej w przyszłość i przygotowuje już inną nowość oryginalną, mianowicie komedję Kaz. Wroczyńskiego „Aby żyć!”, o zacięciu satyrycznym i aktualnym. Jak niosą wieści zakulisowe, nowy utwór autora „Dziejów Salonu”, tak dobrze znanego Łodzi, posłada wszelkie warunki i widoki powodzenia.

Dyr. opery czeskiej w Bratisławie, Oskar Nedbal, zwrócił się do p. Grzegorza Fitelberga z propozycją wystawienia w tamtejszym teatrze — „Halki” Moniuszki. Dyr. Fitelberg przyjął zaszczytne zaproszenie i podejmuje kroki celem wystawienia narodowej opery polskiej w Bratisławie w marcu r. 1928. „Halka” będzie wystawioną jak się dowiadujemy, siłami miejscowemi, wszakże pod dyrekcją Fitelberga.

Podniosła uroczystość święciła niedawno słynna paryska „Comédie Française”. Oto prezydent Republiki Francuskiej, p. Doumergue, w obecności ministra oświecenia publicznego, p. Herriota odsłonił piękny pomnik, wzniesiony ku uczczeniu artystów Komedji Francuskiej, poległych za ojczyznę w latach wielkiej wojny: 1914—1918.

Bolesną stratę poniosło piśmiennictwo czeskie: w tych dniach zmarł w Pradze w wieku lat 68 znakomity dramaturg Karol Czapek. Czapek, którego utwory wystawiane były m. in. również na scenach pol-

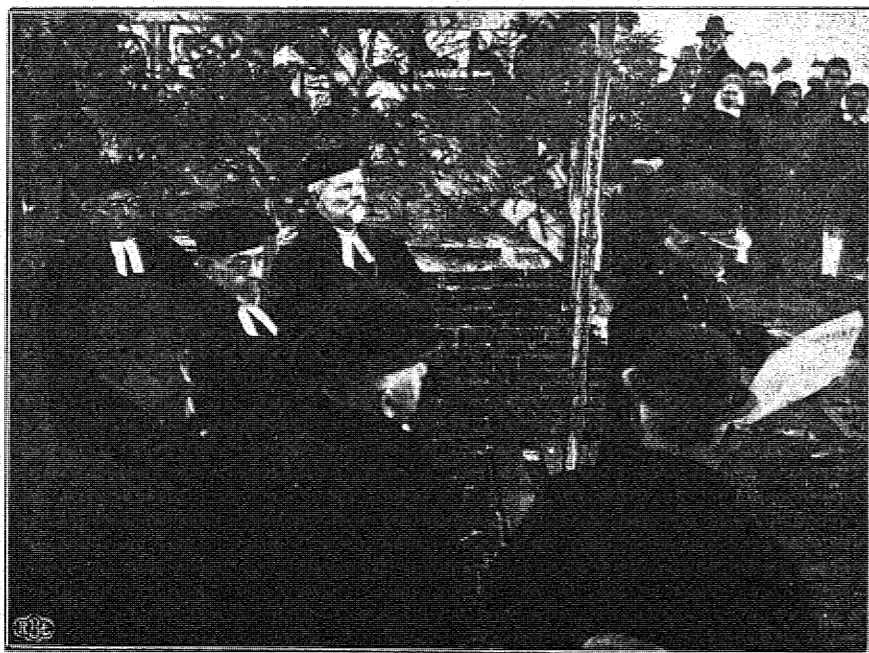


Jan Bonecki, wytworny artysta, świeżo zaangażowany przez dyrekcję Teatru Miejskiego w Łodzi.

skich, otrzymał niedawno państwową nagrodę literacką.

Jak donoszą pisma angielskie, znany miliardier amerykański, Rockefeller, junior, ofiarował 400,000 funtów szt. na odbudowę spalonego w roku ubiegłym teatru Szekspirowskiego w Stratford, rodzinnej miejscowości wielkiego twórcy. Hojny, zaiste, dar!...

Delta.



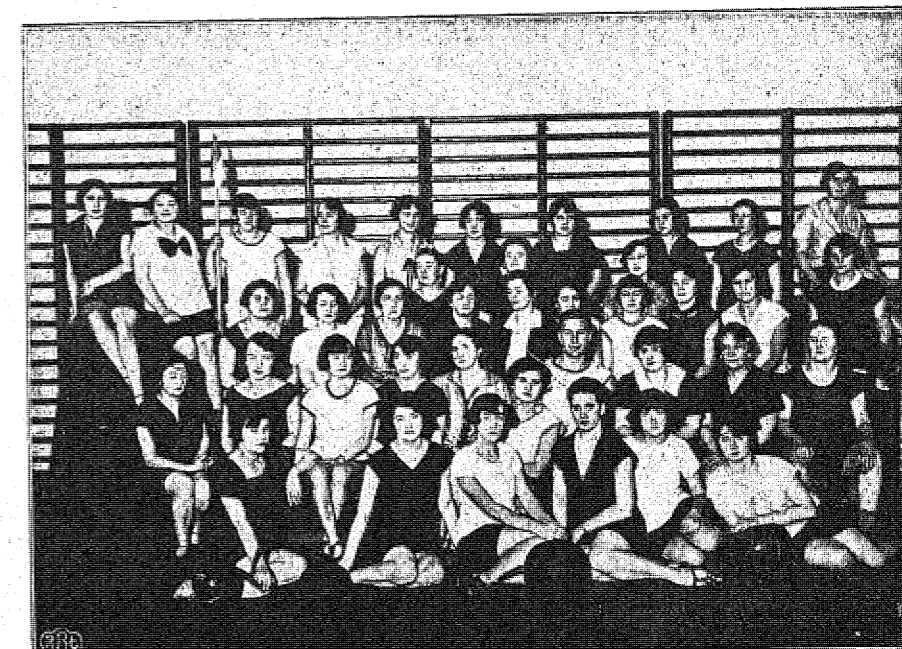
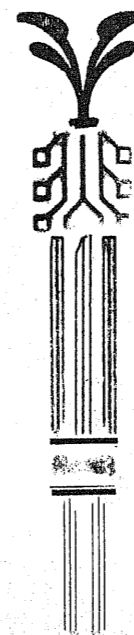
W ubiegłą niedzielę odbyło się w Łodzi, przy ul. Pomorskiej 42, uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę nowego szpitala ewangelickiego Stow. „Domu Miłosierdzia”. Aktu poświęcenia dokonał generalny superintendent dr. Juljusz Bursche. Fot. Aleksander Meyer.



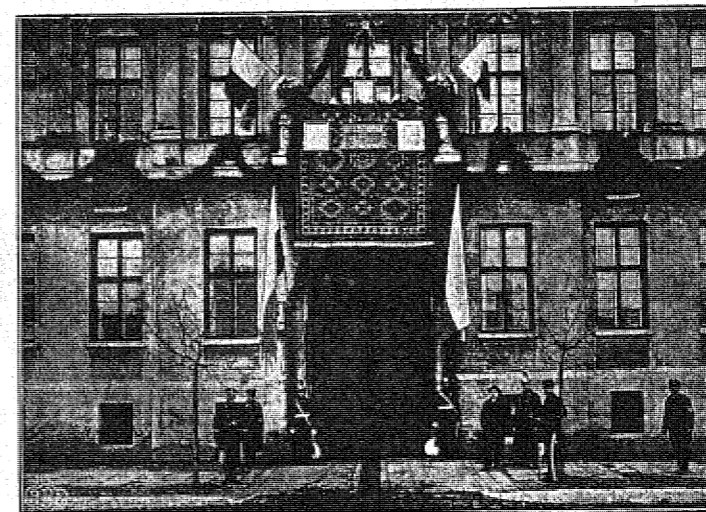
Uroczystość dekorowania „Krzyżami Zasługi” członków policji łódzkiej. Na zdjęciu moment przypięcia odznaczenia komisarzowi Weyerowi (X) przez inspektora p. Foerstera.



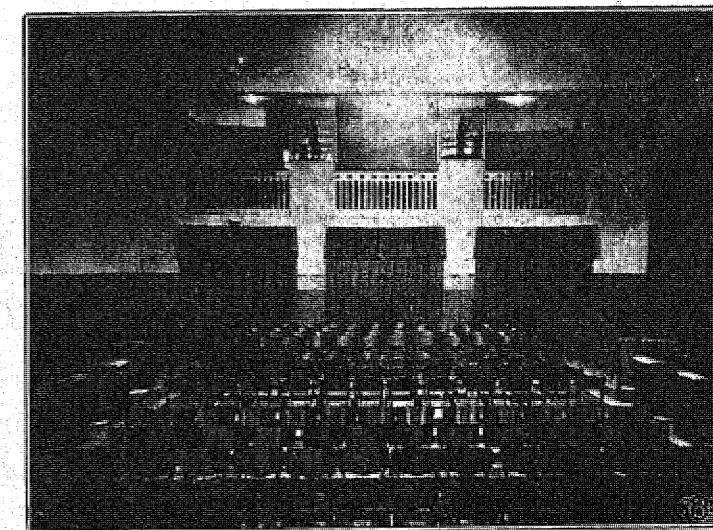
Nacz. Wydz. Śledczego w Łodzi, p. kom. Weyer, odznaczony srebrnym „Krzyżem Zasługi”.



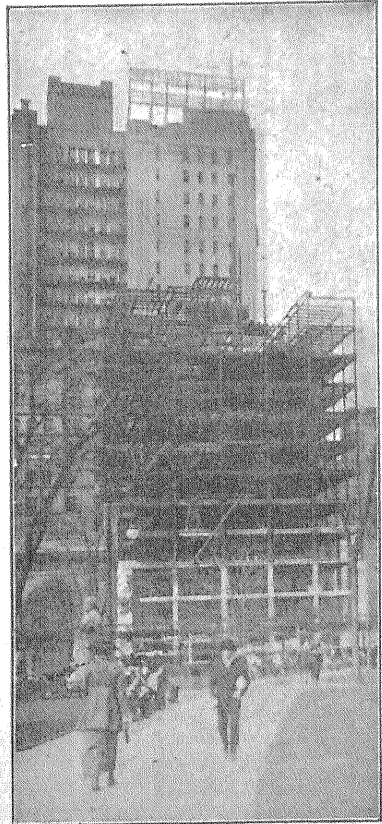
Kurs W. F. „Rodziny Wojskowej” przy Ośr. W. F. Łódź z por. Woskowi-czem, instr. kursu na czele (X).



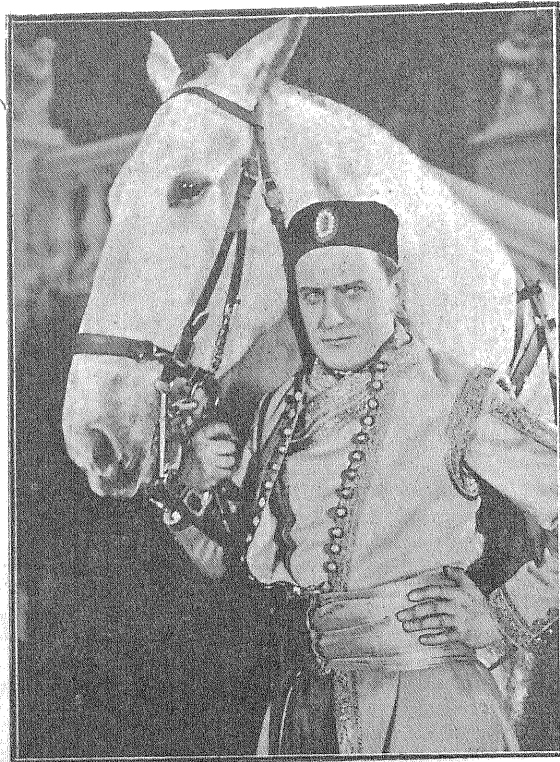
Udekorowany w dniu 11 listopada, r. b. gmach rezerwy P. P. w Łodzi.



Nowy przybytek sztuki p. n. „Teatr Kameralny” w Łodzi, przy ul. Traugutta 1. Fot. Aleksander Meyer.



W państwie „Złotego Sezamu”. Budowa nowego drapacza chmur w Nowym Jorku.



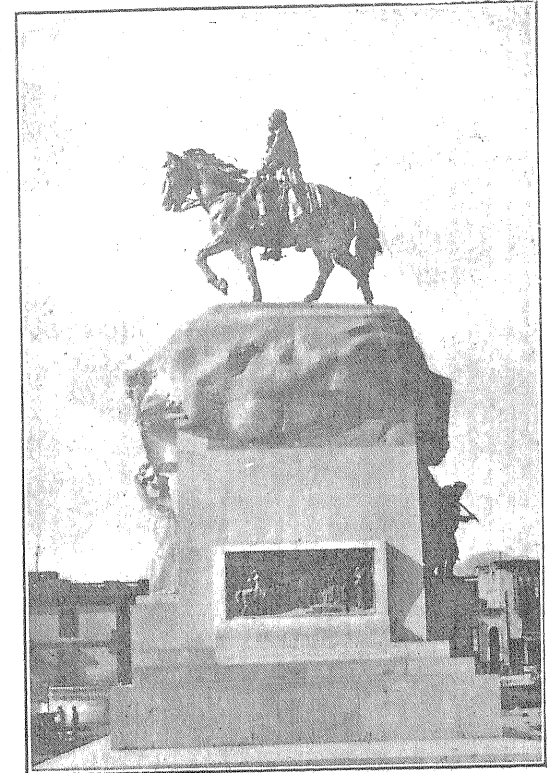
Harry Liedtke, znakomity artysta filmowy, w ról rycerskiego rozbójnika w filmie „Książę Czarnych Gór”.



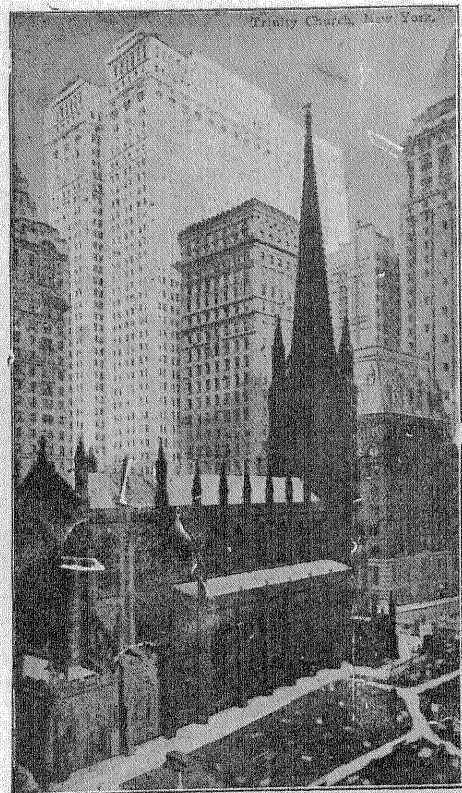
Aleja palmowa w Miami.



Olbrzym amerykański u zbiegu ulic 40 i 42 w Nowym Jorku.



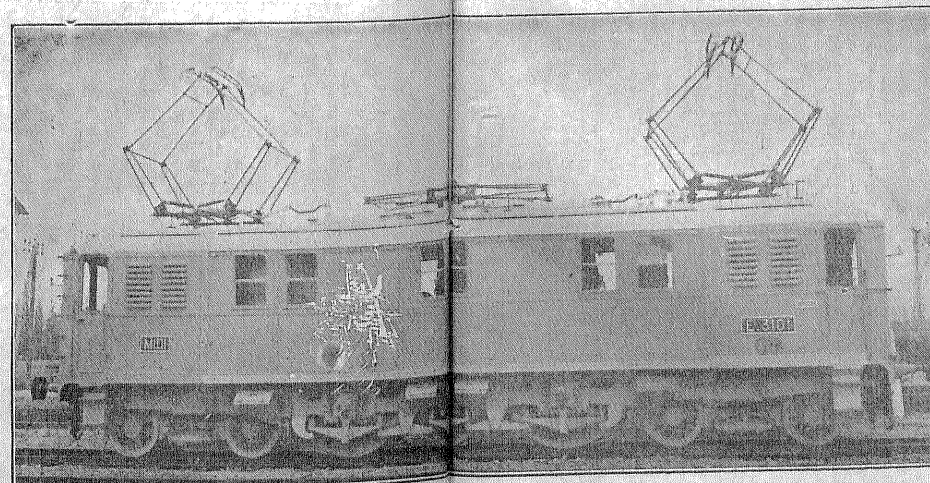
Pomnik peruwajskiego bojownika o wolność. José de San Martíni, na jednym z placów stolicy Lima.



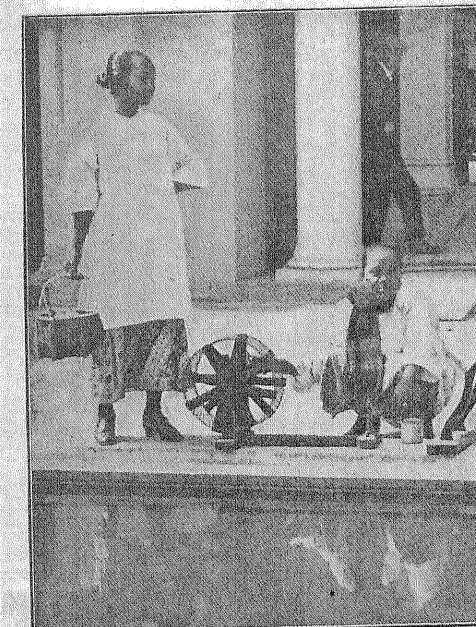
Kościół w Nowym Jorku, widziany na tle olbrzymich gmachów amerykańskich, daje złudzenie miniatury stylowej.



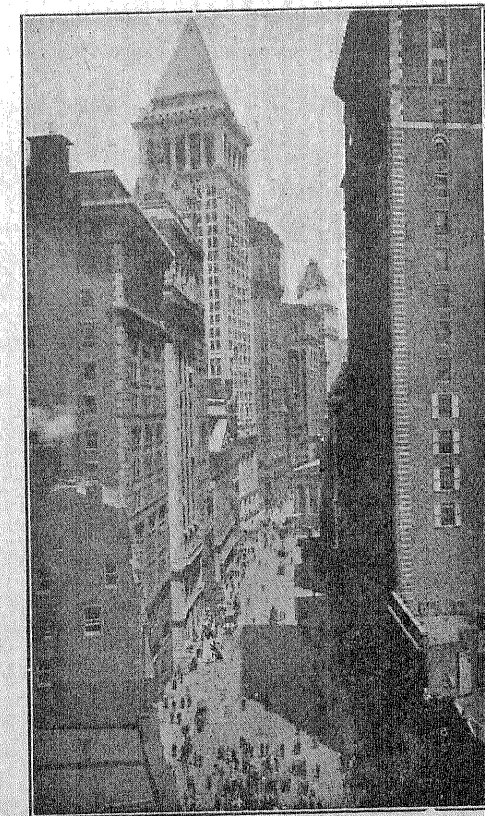
Wzmacnianie głosu na nadawczej stacji radiowej.



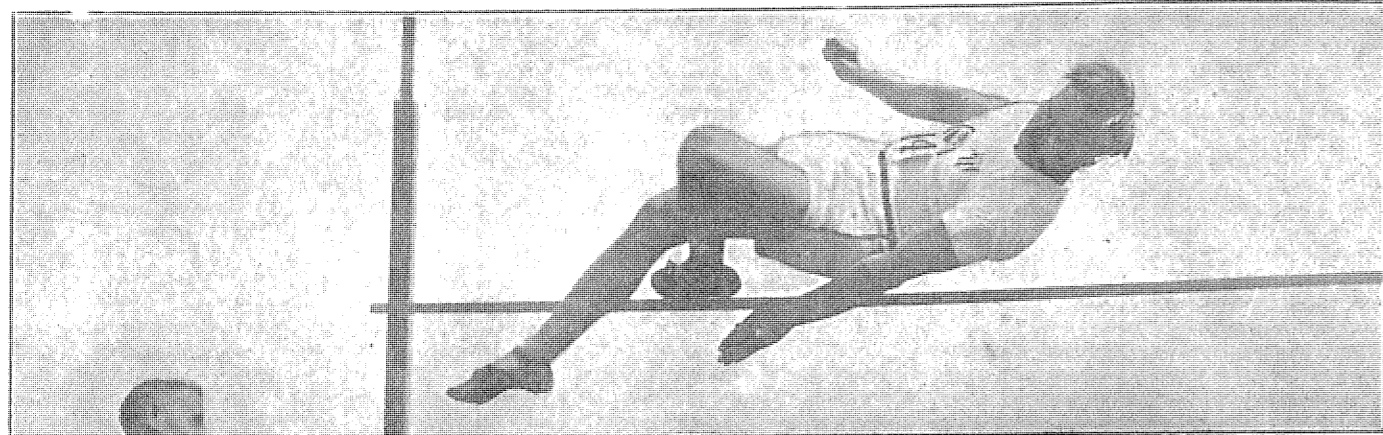
Lokomotywa pośpieszna francuska o szybkości 120 km. na godzinę.



Kobiety majańskie przy pracy.



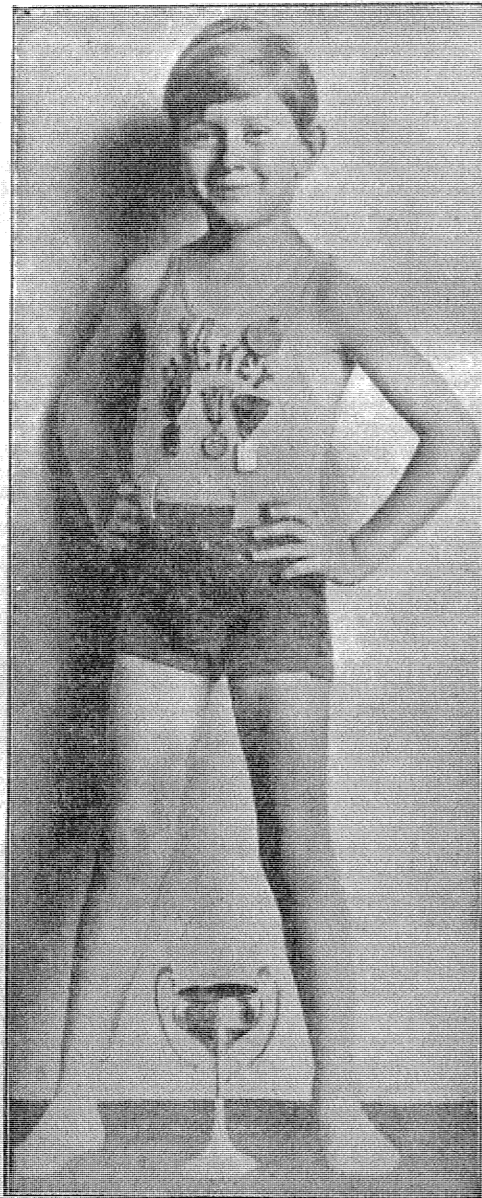
Nowoczesne zabudowania słynnego Broadway'u.



Klasyyczny skok wzwyż studenta amerykańskiego



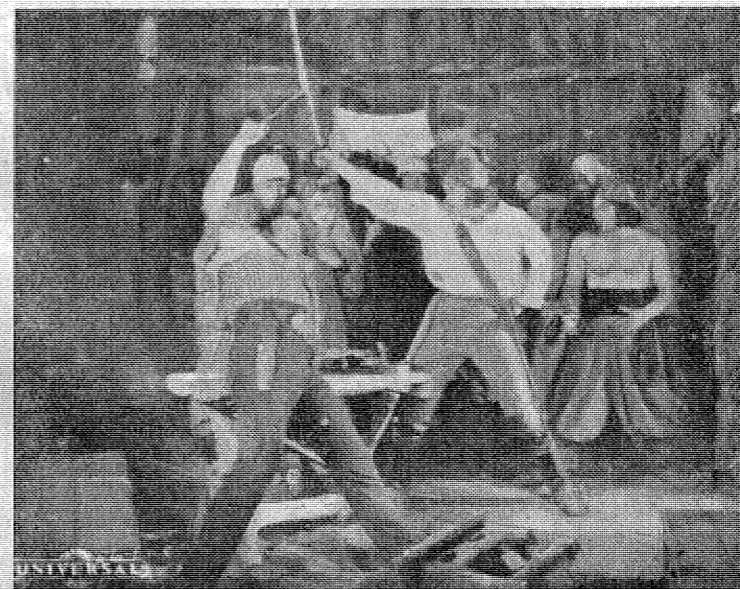
Moment z zawodów hippicznych.



Sześciolatek champion, Mickey Mac Pain.



Głośna komedia pióra Adolfa Nowaczyńskiego p. t. „Wojna wojnie“ na scenie Teatru Polskiego w Warszawie. Na lewo fragment aktu IV-go z Szymbortówną i Samborskim w roli Lesbijki Kleo, na prawo fragment aktu II-go z Maszyńskim, Krześcińskim i Samborskim.



Charakterystyczne sceny z filmu wyświetlanego obecnie w kinoteatrze „Czary“ w Łodzi p. t. „Robinson w dżungli“, według wszechświatowej sławy powieści J. R. Wyssa „Szwajcarski Robinson“.



ROBERT WALTER.

Zemsta zamordowanego,

Na początku zmagani wojennych z zaborczym wojskiem francuskim, pewien wieśniak z okolic nadodrzańskich, zgrzytając zębami na swój nędzny los, opuścił młodą żonę, zniewolony wraz z pułkiem swoim wziąć udział w bitwie nad Jeną, gdzie naród musiał gorzko błęd swego rządu opłacić.

Widziano go w samym ogniu, a że się po kilku dniach do pułku swego nie zameldował, wpisano go na listę zabitych.

Oznajmiono fakt młodej jego żonie. Niezłe się jej działo we wdowieńskim stanie, a po skończonej żałobie, obejrzała się wnet za drugim małżonkiem.

Rzekomo zabity tymczasem znalazł możliwość wylizania się z silnie krwawiących, lecz niegroźnych ran i wraz z rozbitymi szczątkami swego pułku dostał się do niewoli francuskiej, skąd, po powrocie do zupełnego zdrowia i bojowej zdolności, został wysłany wraz z innymi towarzyszami niedoli na zażartą wojnę hiszpańską.

W ogniu bitew pociemniał, jak wypalony w piecu garnek — mróz, deszcz i słońce na skalę go przeżarły, nędza gorszą była od śmierci, a mimo wszystko cała jego wewnętrzna istota rwała się do życia.

Gdy wspinał się zapach swej roli ojczystej, ciszę jodłowego lasu, ciepło młodej żonki — płomienną falą krew mu w żyłach płynęła.

Pod Kadyksem biwakowali nędzniejsi, od obleganych.

Udało mu się uciec wreszcie.

Nikt tyle nie wycierpiał — uniewinniał się w duchu.

Uciekł nocą, drżąc ze strachu i gorączki głodowej. Ale w oczach mu się śmiała ziemia i wioska rodzinna. W dzień krył się po lasach, wykopując pod śniegiem i błotem małe korzonki, które wraz z ziemią pożerał.

Pewnego razu — po długich tygodniach i miesiącach tęsknej tułaczki o głodzie i chłodzie — znalazł gniazdo z młodemi zającami. Łzy mu w oczach stanęły, ale... ukroczył głowy młodym stworzonkom i polknął krawę ciała.

Dotarłszy do niemieckiej granicy, przemknął się niepostrzeżenie i kiedy odetchnął ojczystym powietrzem, kolana mu się pod nogami ugęły. Jak pijany chwiejnym krokiem podążał ku swej wiosce.

Księżyc mroki nocy rozjaśniał, a zagonny lnu pachniały w polu, gdy ujrzał uspięne domostwo swoje.

Serce w piersi zamarło i jak senna mara stanął u progu. Kościstą pięścią uderzył w zamkniętą okiennicę, a dusza śmiać się lkać poczęła.

Żona jego otworzyła zielone żaluzje. U!

rzawszy w świetle księżycowym nieboszczyka, krzyknęła, jak nożem przebita i zemdlona, padła na ziemię.

Po godzinie siedzieli we troje przy tlejącym lucywie w miłości i nienawiści zastygli. Ten, który do domu powrócił — chciał swe dzieje opowiedzieć, nie było jednak wątku w jego beładnych słowach.

Tamtych dwoje, mąż i żona, co się kochali, zgrozą przejęci, pałali nienawiścią ku burzycielowi swego szczęścia i widząc życie swe rozbite, rozmyślali nad sposobem pozbycia się zmartwychwstałego upiora przeszłości.

Niebawem poczeli się waśnić z sobą i o swe prawa walczyć. Przybyły nie chcieli się za próg swego domu ruszyć i skoro dawno niezaznany sen zmorzył, legł jak martwy u ogniska chaty, odkładając do następnego dnia ciężką przeprawę z intruzem.

Dwoje zakochanych, siedząc nieruchomo jak kamienne posągi nienawistnym spojrzeniem ogarniali skuloną postać śpiącego.

Jakkolwiek nie czuli winy w sobie — trwoga złoczyńców miotła ich sercami i nagle... znaleźli wyjście z sytuacji bez wyjścia.

Nikt we wsi nie widział przybysza. Nie żył w pamięci mieszkańców swej wioski rodzinnej i umarli nie powinni niepokoić żyjących...!

Kobieta, oplótlszy rękami ukochanego, coś mu tajemniczo do ucha szepotała. Bezwolny był w jej kłiwym uścisku. Złym czynem zgodził się szczęście swe okupić.

Siekiera zarabali śpiącego, a kobieta trupa jeszcze raz toporem zdzieliła... Pośpieźnie wpakowali ciepłe zwłoki do worka

który złożywszy na taczkę, cicho przewieźli przez wioskę precz, na odległość godziny drogi, ku Odrze, zbierając kamienie polne po drodze.

Srodze znużeni stanęli przy bagnistej łące. Zimnym potem okryci, włożyli kamienie do worka. Mężczyzna, głośno stęskając, dźwignął przerażające brzemię na plecy i ciężkim krokiem ruszył przez mokradła.

Niebawem oburwie nabrzękło mu woda. Wtem kobieta wrzasnęła nieludzkim głosem: noga nieboszczyka, przedarłszy się przez zbutwiały worek, leżała na gołeni niosącego.

Otrząsnawszy się z wrażenia, podskoczyła, wsunęła nogę zpowrotem do worka i sięgnęła za sznurówkę na piersiach, oznajmiając ze śmiechem mężowi, że ma na szczęście grubą nitkę i igłę przy sobie.

Podczas kiedy mężczyzna niespokojnie i trwożnie oddychając włókł się ku matowej tafli rzecznej, zeszywała szybko pęknięty worek, nie chcąc go jednocześnie w półmroku zszywając z połą kaftanu swego męża.

Ten, stanawszy u brzegu rzeki, po chwili wahania rzucił z impetem worek z nieboszczykiem w nurty wodne. Lecz trup zabitego szarpnął go wściekle ku sobie. Przez jedno okamgnienie mężczyzna trzymał jeszcze głowę ponad falami. Wytreszczonymi przeraźliwie źrenicami wpił się w twarz krzyczącej w niebogłose kobiety. Otworzył usta, chcąc wołać ratunku, ale woda wnet załapała mu gardło.

Nieubłagany w akcie swej zemsty trup zamordowanego pociągnął go na dno rzecznej za sobą.

Tium. Jotsaw.

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, 27 listopada 1927 roku.

Nr. 48.

„Dar poranka” w Teatrze Miejskim.



W dniu 12 b. m. Teatr Miejski w Łodzi wystawił pogodną komedię w 3-ach aktach Joachima Forzana, która niefrasobliwą akcją przypomina pełen uroku „Świt, dzień i noc” Nicodemiego.

Na zdjęciu fragment I-go aktu, przedstawiający scenę, której akcja toczy się w małej prowincjonalnej apteczce włoskiej.